

# Rozdział 8

## Gryfy

Guard splunął grudką na wpół zeschniętej krwi. Po raz kolejny spróbował podnieść się na nogi, ale jedynym co zdołał w ten sposób osiągnąć, było przewrócenie się na drugi bok. Z paskudnym grymasem na ustach zaczął wyklinać na czym świat stoi.

Ta tęczowa... Gdy przyleciała, by sprawdzić stan gwardzistów po upadku, Guard tracił przytomność z bólu. Jej przerażona twarz była ostatnim, co zarejestrował przed omdleniem.

Klacz, którym do tej pory chronił zady zapewne wzięły go za zmarłego... W sumie nic dziwnego, zważywszy na obrażenia, jakie odniósł, a tamta niebieska raczej nie wyglądała na taką, co by się chętnie przyglądała trupom. Do licha, sam się zdziwił, że jeszcze jakimś cudem żyje.

Niestety w tej pozycji nie mógł dostrzec swoich ran, ponieważ jego głowa leżała pomiędzy dwoma sporymi kamieniami, a jedna z kończyn była wciśnięta w jakąś parszywą dziurę. Postanowił więc przeprowadzić mały test, poruszając delikatnie poszczególnymi partiami ciała. Przednia prawa noga reagowała bólem, sugerującym zwichnięcie lub złamanie. Nic szczególnego. Dużo gorzej wyglądała sprawa lewego skrzydła. W jakiś sposób – czy to przy uderzeniu smoka, czy po upadku na ostre skały – coś oderwało jego sporą część. Pozostał tylko nędzny kikut. Gwardzista skrzywił się jeszcze mocniej. Cóż, to czyni z niego kalekę do końca życia.

Pegaz przez chwilę zbierał wątle siły, po czym jednym szybkim ruchem podniósł się i oparł przednimi kopytami o stojący przed nim głaz. Poczuł się, jakby ktoś rytmicznie walił w jego głowę potężnym młotem kowalskim. Świat wokół zaczął wirować, ale tytanicznym wysiłkiem woli udało mu się przezwyciężyć odruchy ciała. Nową falę cierpienia przyjął z pozorną obojętnością.

Jego zamroczone spojrzenie otaksowało okolicę. Wyraźnie szukał czegoś konkretnego. Po chwili udało mu się wypatrzeć upragniony przedmiot. Była to torba należąca do któregoś z gwardzistów, leżąca paręnaście metrów od niego. Ta niewielka odległość zdawała mu się teraz nieskończenie wielka.

Guard wziął potężny wdech, a następnie mocno szarpnął unieruchomioną w skalnym pęknięciu nogą. Kończyna wysunęła się z dziury z nieprzyjemnie metalicznym zgrzytem płyt pancerza trących o szorstką skałę, a przed oczami strażnika zaczęły tańczyć czarne plamki. Starając się ignorować narastający ból, skupił wzrok na leżącej w pobliżu sakwie. Jeśli nie uda mu się do niej dostać, z pewnością jeszcze dzisiaj zginie. Sięgnął do swoich najgłębszych pokładów sił, z wysiłku aż zacisnął zęby i wybałuszył oczy. To było tylko kilka kroków, lecz dla Guarda minęła cała wieczność.

Gdy wreszcie zwałił się z łomotem obok bagażu, ciężko dysząc i parskając, czuł jak życie powoli ulatnia się z jego ciała. Desperacko pochwycił torbę swoim ważącym tonę kopytkiem i bezceremonialnie wysypał całą zawartość na ziemię. Wyleciało z niej sporo przedmiotów różnego kształtu i rozmiaru, lecz Guard skupił się tylko i wyłącznie na jednym. Był to nieduży biały pojemnik o prostokątnym kształcie, z czerwonym krzyżem narysowanym na wieczku.

Gwardzista z trudem sięgnął po apteczkę. Przez moment siłował się z zatraskiem zabezpieczającym jej otwarcie, po czym z lekkim westchnieniem ulgi zlustrował zawartość. Bez zastanowienia pochwycił małą, zieloną tabletkę (udało mu się to dopiero za czwartym razem, niełatwo złapać coś trzęsącymi się kopytami) i natychmiast wepchnął ją sobie do ust. Efekt był błyskawiczny – strażnik miękko osunął się na podłoże, a jego mięśnie jakby zwiótzały. Leżał tak dobrych parę chwil i tylko jego przymrużone oczy świadczyły o tym, że nie śpi.

Na ciele Guarda powoli zachodziły zmiany. Z paskudnej rany na nodze wreszcie przestała wypływać krew, a pozostałe obrażenia troszkę się zabiłiżyły. Jednak złamana kończyna wciąż była niesprawna, a i urwane skrzydło ani myślało się zregenerować. Na twarzy gwardzisty pojawił się głupawy uśmiech. Żył. Grunt to nie działać zbyt pochopnie i tego nie schrząnić. Przecież miał jeszcze jedno zadanie do wykonania. Wciąż czuł się bardzo słabo, ale przynajmniej mógł się teraz samodzielnie opatrzyć. Do tego celu wykorzystał sporą część wyposażenia apteczki. Miał olbrzymie szczęście, że w ogóle udało mu się znaleźć jedną z toreb gwardzystów. Wszystkie powinny znajdować się u góry, na klifie, ale najwyraźniej podczas walki ze smokiem ktoś strącił do przepaści którąś z nich.

Najwięcej problemu sprawiło mu ściągnięcie mocno zniszczonej zbroi. Okazała się powgniatana i zdeformowana w wielu miejscach, więc ogier musiał przecinać łączące poszczególne segmenty paski, by móc ostatecznie zrzucić bezużyteczną już teraz kupę blachy. Pomogła mu w tym znaleziona pod śpiworem maczeta. Następnie zajął się bandażowaniem pokrytego strupami ciała i natarciem siniaków jakąś cuchnącą maścią. Za pomocą kilku podłużnych kawałków metalu i gazy udało mu się unieruchomić kontuzjowaną nogę.

Dopiero po zakończeniu wszystkich zabiegów Guard zaczął odczuwać głód. Na szczęście wśród porozsypywanych wokół rzeczy znajdowała się także paczka z żywnością i kilka bukłaków wody. Strażnik łapczywie rzucił się na pożywienie, w głębokim poważaniu mając wszelkie ogólnie przyjęte zasady kulturalnego spożywania jadła.

Niebo zaczynało się już ściemniać, gdy gwardzista odzyskał wreszcie nieco swoich sił. Prawie wszystkie walające się na ziemi przedmioty zagarnął z powrotem do torby, pozostawiając przy sobie jedynie wspomniany śpiwór i zapasowe okrycie wierzchnie, które natychmiast założył. Niebiskawy płaszcz może i nie był w jego guście, ale paradowanie bez ubrania na takim mrozie zapewne zakończyłoby się dla niego fatalnie.

Guard zanurzył się w mięciutkich głębinach śpiwora i błyskawicznie zasnął. Musiał dobrze wypocząć przed dalszą drogą. Nowe rany stanowiły poważne utrudnienie, lecz gwardzista nie zamierzał się tak łatwo poddać. O nie, jego misja się jeszcze nie zakończyła...

\*\*\*

Południowo-zachodnia granica Preeze była od wieków ostoją ciszy i spokoju. Gryfy i kucyki rzadko zapuszczały się w tę okolicę, obfitującą w liczne drzewa (czym bardziej na północ, tym mniej się ich napotykało, co wynikało z wysokiego zapotrzebowania mieszkańców miast i osad na ten surowiec), intrygujące formacje skalne i groźną, miejscową faunę. Szczególnie to ostatnie potrafiłoby skutecznie odstraszyć jakichkolwiek śmiałków.

Jednakże prawdziwy powód opustoszałości tej krainy geograficznej okazywał się być znacznie bardziej skomplikowany.

Setki lat temu, po pokonaniu kucyków, Gryfingowie rozpełzli się po całym kraju, zajmując pozostałości siedzib przeciwników i zmieniając je na własną modłę. Swoje potrzeby zaspokajali przy pomocy dobrze zaopatrzonych spiżarni i piwniczek, co wystarczało im na dostatnie życie przez kilka następnych lat. W końcu zapasy się skończyły. Co prawda, w domostwach znajdowało się sporo sprzętów wykorzystywanych przez ich dawnych mieszkańców do produkcji, bądź modyfikacji żywności, ale gryfi najeźdźcy kompletnie nie umieli się nimi posługiwać.

W obliczu groźby głodu, Gryfingowie odnowili zaniedbane pola uprawne, sadząc na nich nasiona roślin, znalezione w magazynach. Trochę czasu minęło zanim nauczyli się długości okresu wegetacyjnego zbóż i używania podstawowych narzędzi rolniczych stosowanych niegdyś przez tutejsze kucyki. Uzyskiwali w ten sposób plony, dzięki którym mogli utrzymać się przy życiu, lecz wkrótce przestało im to wystarczać. Pragnęli dostatniego, wygodnego życia.

Zaczęli ponownie się jednoczyć, porzucając dotychczasowe siedziby i lokując się w ruinach większych miast. Krótki okres izolacji dobiegł końca. Większość gryfów dalej uprawiała ziemię, zapewniając całej pobliskiej społeczności stały dopływ żywności, jednak zaczęły kształtować się także inne zawody, czy profesje. Spore znaczenie mieli myśliwi, polujący na dzikie zwierzęta licznie zamieszkujące tutejsze lasy. Do tej pory Gryfingowie radzili sobie bez mięsa, ale jako istoty z zasady drapieżne, bez wątplenia bardzo tęsknili za jego smakiem. Poza tym, pojawili się pierwsi kupcy i rzemieślnicy. Nie do końca wiadomo na jakiej przestrzeni lat się to odbywało, ale poziomem gospodarki i kultury zaczęli powoli doganiać pobliską Equestrię.

Na styku szlaków handlowych wyrosły nowe miasta i osady, w całości zbudowane przez gryfy. Zaczęły formować się zależności pomiędzy różnymi miejscowościami. Stare, leżące poza obrębem wpływów największych osiedli, szybko opustoszały, a ich mieszkańcy przenosili się w gęściej zamieszkane rejony. W ten sposób państwo zostało podzielone na trzy główne skupiska gryfów, każde zależne od pobliskiej metropolii, pełniące rolę nieoficjalnej stolicy. Gryfingowe wioski znajdowały się zatem w niewielkiej odległości od siebie, a tereny leżące poza wpływami miast stołecznych były niemal całkowicie niezamieszkane i nieeksploatowane gospodarczo (mieszkańcy Preeze nie mieli większych problemów z uzyskaniem wszelkich potrzebnych surowców – okolica obfitowała w większość materiałów, a resztę zdobywano na drodze handlu z Equestrią, a później także z Crystal Empire).

Dlatego właśnie na południowo-zachodniej granicy panował całkowity spokój, a ryzyko napotkania jakiegokolwiek gryfa było minimalne.

Applejack, Rainbow Dash i Pinkie Pie w milczeniu słuchały słów Greyshera. Paladyn wyjaśniał dlaczego nie napotkali do tej pory na chociażby ślad jakichkolwiek inteligentnych istot. Gdy skończył opowiadać o tym, przeszedł do następnej kwestii, racząc klacze barwnymi opisami tutejszych miast i osad, zależności społecznych, czy wpływów pozycji społecznej na styl życia danych warstw. Gadanina ogiera w normalnych warunkach już dawno zanudziłaby bohaterki, ale w tym przypadku stanowiła jedyne źródło rozrywki, więc z chciwością wylapywały każdy strzęp informacji, mijając przy tym kolejne, niemal identyczne pnie potężnych drzew i zostawiając charakterystyczne ślady w chrzęszczącej, oszronionej ściółce. Już od dłuższego czasu podróżowali w ten sposób. Greysher

opowiadał i opowiadał, a klacze przysłuchiwały mu się z średnim zainteresowaniem, od czasu do czasu rzucając jakieś pytanie, albo uwagę.

Na obozowisko wybrali tej nocy naturalne podwyższenie terenu, z jakiegoś tajemniczego powodu wolne od wszechobecnych wszędzie indziej drzew. Mogli bez obaw rozpałić tam całkiem spore ognisko, wykorzystując do tego walające się na ziemi gałęzie.

Gdy ogień zaczął rosnąć, chciwie pochłaniając stertę drewna, kucyki sprawnie wzięły się za rozkładanie ściworów, umieszczając je blisko dającego przyjemne ciepło płomienia. Applejack i Rainbow Dash wciąż milczały jak zakłute. Ciężko było powiedzieć, czy to wpływ niedawnych wydarzeń, wątpliwości, albo może senniejszej atmosfery lasu. Pinkie Pie za to najwyraźniej walczyła sama z sobą. Jej usta wciąż otwierały się, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Greysheer widząc zakłopotanie rysujące się na pyszczkach towarzyszek jedynie uśmiechał się leciutko.

– Nie jest łatwo odezwać się w miejscu takim jak te, prawda? – zapytał ironicznie.

– D-dlaczego mówienie przychodzi mi z takim trudem? – odpowiedziała pytaniem Pinkie. – Przecież ja uwielbiam gadać!

– Widzicie, moje drogie panie, te leśne ostępy są wieczną ostoją dzikości, nieskażoną kopytem kucyka. To, co właśnie czujecie, jest naturalnym respektem i strachem wobec działających tu odwiecznych praw.

– Jakich praw? – zdołała wykrztusić Applejack.

– Pierwsze prawo brzmi: silniejszy ma zawsze rację. Drugie prawo brzmi: zawsze znajdzie się ktoś silniejszy od ciebie. Trzecie prawo to: nieostrożny zawsze skończy w brzuchu jakiejś paskudnej bestii.

– Daj spokój, wymyśliłeś to przed chwilą – odparła niepewnie Pinkie.

– Może tak, może nie. Faktem jest jednak, że rozważa jest dla nas sprawą nadrzędną – westchnął ogień, zawijając się w ściwór. Następnie odwrócił się na drugi bok, nie dając swoim towarzyszkom szansy na odpowiedź. Te tylko wymieniły spojrzenia i także udały się w objęcia snu.

Przez kilka pierwszych godzin kolejnego dnia rytuał milczenia się powtórzył. Klacze nie odzywały się do siebie, nawet Greysheer zdawał się być mniej pewny siebie niż poprzednio. Otoczenie także nie działało na ich korzyść, wciąż tak samo ponure i pozornie spokojne, lecz kryjące w sobie przyczajoną grozę.

Kucyki ostrożnie stawiały kroki, jakby chodziły po kruchym lodzie, który może w każdej chwili się zarwać wciągając je w lodowatą toń, choć tak naprawdę grunt był wyjątkowo twardy. Powietrze zgęstniało, potęgując jeszcze atmosferę zaszczucia. Obrazu dopełniał wszechobecny półmrok, ponieważ gęsto rosnące drzewa skutecznie utrudniały dotarcie światła słonecznemu w niżej położone rejony.

– Mam tego dość! Niebezpieczny czy nie, żaden las nie będzie powstrzymywał Pinkie Pie przed potrzebą gadania! – odezwała się niespodziewanie różowa klacz. Jej głos zagrzmiął w otaczającej ich ciszy głośno niczym trzask pioruna, mimo tego, że w rzeczywistości powierniczka Elementu Śmiechu odezwała się stosunkowo cicho.

– Taa... Pinkie ma rację, przecież nie damy się stłamsić jakiejś tam garstce drzew – z wyraźnym trudem zdołała odpowiedzieć Rainbow Dash.

– Zgadzam się, choć mam wrażenie, że jak tylko podniosę głos, to jakaś okropna pokraka wypełźnie ze swojej nory, chapnie mnie za nogę i zaciągnie do swojego legowiska, gdzie urządzi sobie większą ucztę niż cioteczka wyprawiła Applebranch na swoim weselu, a wiercie mi, tyle żarcia w jednym miejscu nie widziałam w całym swoim życiu – powiedziała Applejack jednym tchem, ignorując ciekawskie spojrzenia Pinkie.

– Och, no dajcie już spokój! Trzeba stawiać czoła przeciwnościom losu! Z uśmiechem na ustach! Bo inaczej nigdy sobie z tym nie poradzicie – zabrała znowu głos Pinkie. – No dalej dziewczyny, więcej entuzjazmu!

– Entuzjazmu? A czym, do wielkiej sterty siana, miałybyśmy się cieszyć?

– Obecnością najlepszych przyjaciółek, oczywiście! Przecież zawsze mogło być dużo gorzej. Na przykład jakby któraś z nas trafiłaby do cichego, osnutego tajemniczą mgłą miasteczka, gdzie musiałaby się zmierzać ze swoimi najgorszymi koszmarami! To dopiero straszna myśl, nie?

– Najgorszymi potworami są upiory własnego umysłu – wtrącił zagadkowo Greysheer. Przyjaciółki spojrzały na niego z ciekawością, czekając na coś więcej, ale paladyn nie miał już najwyraźniej nic więcej do dodania.

– A co z... sumieniem? – zapytała nagle Rainbow Dash. Wyglądała na bardzo zakłopotaną i niezdecydowaną. Najwyraźniej zabranie głosu sporo ją kosztowało.

– Co ci chodzi po głowie? – zdziwiła się Applejack.

– Coś się stało, Dashie? – dodała niemal w tym samym momencie Pinkie..

– Ja... po prostu nie wiem, czy powinnam o tym mówić, ok? Przecież przez cały czas byłam taka stanowcza i pewna siebie...

– Wyduś to wreszcie! – zniecierpliwiła się farmerka. – Przecież jesteśmy przyjaciółkami, będziemy cię wspierać niezależnie od tego, w jak wielkie łajno wdepniesz.

– A tamtym kolesiem się nie przejmuj – powiedziała konspiracyjnym szeptem różowa klacz, wskazując na Greyshera, który taktownie oddalił się na spory dystans od nich. – Na czas naszej rozmowy nadaję mu order Honorowego Elementu Tła!

– Pewnie macie rację. Chyba zauważyłyście, że ostatnio byłam jakaś małowówna i skryta. Ciągle się denerwowałam i łatwo wpadałam w złość. W sumie sama nie wiem dlaczego...

– Nie ty jedna... – wymruczała z zastanowieniem Pinkie, pocierając sobie brodę kopytkiem.

– W każdym razie chodzi o to, że mam pewne wątpliwości...

– Wątpliwości? – zdziwiła się Applejack. – Odnosnie tej wyprawy? To dlaczego wcześniej nam nie powiedziałas? Przecież to nic złego.

– Możecie w końcu przestać mi przerywać? – zirytowała się Rainbow. – Ja tu się uzewnętrzniam!

– Wybacz – burknęła w odpowiedzi farmerka.

– To wszystko przez moją cholerną dumę. Nie mogłam przyznać się do swojej słabości. No i wahałam się. Bardzo się wahałam i wciąż nie jestem pewna, czy podjęłam dobrą decyzję. Widzicie, staram się być lojalna, ale...

– Alee...? – zapytała przeciągle Pinkie.

– Już sama nie wiem wobec kogo powinnam być lojalna! – wybuchnęła niebieska klacz, chwytając się za głowę. – Z jednej strony powinnam była wesprzeć plan Twilight i pomóc jej w bezpiecznym zaprowadzeniu wszystkich do domu. Przecież ona tylko chciała dobrze, a ja naskoczyłam na nią jakby była moim wrogiem. Z drugiej jednak, moim obowiązkiem jest służyć księżniczce Celestii i całej Equestrii! Nasza misja musi zostać wykonana, inaczej nasz dom znajdzie się w niebezpieczeństwie, a wszyscy których znamy będą zagrożeni!

– Poczułam się przyparta do muru. Właśnie dlatego stałam się taka opryskliwa i drażliwa. To mój... mechanizm obronny – chrząknęła z zażenowaniem, po czym westchnęła i spuściła wzrok ku ziemi. – Mam tylko nadzieję, że mi wybaczycie moje zachowanie, a Twilight jeszcze się kiedyś do mnie odezwie po tym wszystkim. Nie powinnam była tak was traktować. Ja... zachowałam się jak kiepska przyjaciółka.

– Nic nie szkodzi! Zresztą, jak mogłybyśmy ci nie wybaczyć? – zapytała Pinkie, z całej siły tuląc do siebie pegaza. – To nie do końca twoja wina, wszystkie ostatnio nie byliśmy sobą.

– Racja. To pewnie wpływ tej przeklętej wędrowni – dodała Applejack. – Sama też mam już tego wszystkiego serdecznie dość! Najchętniej wróciłabym razem z Twilight z powrotem do Ponyville i zobaczyła się z rodziną... Nic nie sprawiłoby mi takiej radości, jak przynajmniej jeden dzień na Sweet Apple Acres, wypełniony ciężką, ale uczciwą pracą wraz z moimi bliskimi.

– Jednak tak jak w twoim przypadku, Rainbow, poczucie odpowiedzialności za kraj i kucyki, które kocham, wzięło nade mną górę. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby przez moje niedbalstwo jakiemuś kucykowi stała się krzywda.

– Oj, Applejack. Najwyraźniej ty także potrzebujesz mocniejszego uścisku na rozweselenie! – zaśmiała się różowa klacz, obejmując farmerkę. – Czy nie zrobiło wam się choć odrobinę lżej, gdy to wyznałyście?

– Nooo, chyba rzeczywiście czuję się lepiej. Dzięki dziewczyny. Serio – odpowiedziała Rainbow Dash. – Naprawdę potrzebowałam tej rozmowy.

– Ja również. Jestem teraz ździebko spokojniejsza – przyznała powierniczka Elementu Uczciwości.

– Widzicie? Przed najlepszymi przyjaciółkami nie trzeba mieć tajemnic! – odparła triumfalnie Pinkie. – Ale coś mu tu wciąż śmierdzi, i wyjątkowo nie chodzi tu o jakiś typowy żart ze smrodem.

– Co masz na myśli? – zapytały jednocześnie Applejack i Rainbow.

– Wieecie, cała ta wyprawa jest z powodu tego śmiesznego Berła... – zaczęła powoli różowa klacz, wskazując na torbę Applejack, w której spoczywał rzeczony przedmiot. Nic dziwnego, że Twilight pozostawiła go pod jej opieką, w końcu farmerka zdawała się być najodpowiedzialniejsza z wyruszających w dalszą drogę przyjaciółek.

– Nawet mi nie przypominaj – burknęła Rainbow. – Po tym wszystkim już chyba do końca życia nie tknę żadnego kijka. Jeszcze się okaże, że można za jego pomocą niszczyć światy, czy coś.

– Słyszałam kiedyś o takich patykach, które mogą zastępować rogi jednorożców – podekscytowała się Pinkie, poskakując jak oszalała. W pewnym momencie zahaczyła tylną nogą o wystający korzeń i z pewnością upadłaby prosto na pyszczek, gdyby nie szybka reakcja Applejack.

– Wyobrażacie to sobie? – zapytała wisząc kilka centymetrów od ziemi. – Mogłabym tworzyć gofry z miodem kiedy bym tylko zechciała!

– To brzmi... przydatnie. Chyba – odparła lekko zdenerwowana powierniczka Elementu Uczciwości. – Ale czy mogłabyś z łaski swojej przejść do sedna?

– Aaa, no tak! Czy zauważyliście, że coś złego dzieje się nie tylko z wami, ale i z całą resztą naszej kompanii? – zapytała podekscytowana Pinkie. Dwójka pozostałych klaczy spuściła wzrok z wyraźnym wstydem. Wyglądały na bardzo zmieszane.

– Wiesz, byłam tak skupiona na własnych problemach, że nie zwracałam zbytniej uwagi na zmartwienia innych – odrzekła skruszona Rainbow. – Strasznie mi teraz głupio.

– Nie tobie jednej – westchnęła Applejack. – Tak bardzo skupiałam się na myśleniu o swoich bliskich, których musiałam opuścić, że zapomniałam o kucykach znajdujących się w moim pobliżu. Ja... przepraszam was obie. Resztę naszych przyjaciółek też, byłabym tylko przetrwała, by móc powiedzieć im to prosto w twarz.

– Ha, ha! Wiedziałam! – wykrzyknęła triumfalnie Pinkie, po czym zaczęła wykonywać niezwykle dziki taniec zwycięstwa, przy czym spora jego część przypominała płasy ryby wyrzuconej przez falę na suchy brzeg morza.

– Co w tym jest niby takiego wesołego? – oburzyła się farmerka.

– Ups, wybaczcie! Po prostu cieszę się, bo miałam rację! Fabuła zero, Pinkie Pie jeden!

– O czym ty, do licha, mówisz?

– Coś wisi w powietrzu. Już od dłuższego czasu wyczuwałam to swoim Zmysłem – odparła, prężąc na pokaz swój ogon. – Wydawało mi się podejrzane, że wy, Fluttershy i ja miałyśmy podobne problemy. Wszystkie stałyśmy się bardzo zamknięte w sobie i smutne. To raczej nie jest dla nas normalne! Choć w sumie... Dla mnie mało co jest normalne... Na przykład czemu budynki nie są budowane z czekolady? To znaczy, pewnie szybko bym wtedy wszystkie pożarła, ale z drugiej strony pozbyto by się niebezpieczeństwa pożarów, co najwyżej wszystko by się stopi...

– Wystarczy, zrozumieliśmy! – przerwała jej Rainbow. – Zaraz... To ty i Fluttershy też miałyście z tym kłopoty? – Jakoś...

– Nie zauważyłaś? – dopowiedziała z namysłem Applejack. – Ja też. Wiesz, Pinkie... Może rzeczywiście cosik jest w tym, co mówisz. Ale w takim razie co, do trzynastu pokoleń jabłonek, jest tutaj grane?!

– Zaraz, zaraz... – powiedziała powoli Rainbow Dash, przeciągając z namysłem sylaby. – Pinkie, wspominałaś coś wcześniej o tym Berle. Czyli myślisz, że to wszystko może mieć z nim jakiś związek?

– Gratulacje, Dashie! – wykrzyknęła różowa klacz, rzucając w pegaza wiadrem konfetti (dosłownie, rzucone wiadro uderzyło prosto w głowę powierniczki Elementu Lojalności,

pozostawiając po sobie pamiątkę w postaci solidnego guza). – Zgadłaś prawidłowo, więc możesz wybrać sobie jakiegoś pluszaka z najniższej półki!

– Co takiego? – zapytała lekko ogłuszona Rainbow.

– Din-din-din! Czas minął! Można następnym razem pójdzie ci lepiej!

– Taak... – skomentowała zająście Applejack. – Tylko skąd wiecie, że to вина tego badyła? Czy to w ogóle możliwe?

– Niczego nie można być pewnym, gdy w grę wchodzi Mroczne Artefakty Grozy! – odpowiedziała Pinkie.

– Jednego nie rozumiem. Skoro podejrzewałaś, że te cholerstwo miesza nam we łbach, to czemu nie powiedziałaś o tym Twilight? Ona z pewnością umiałaby to zbadać.

– Dopiero po rozmowie z wami doszłam do takiego wniosku. Zapaliła mi się w głowie taka mała lampka, co zwykle oznacza, że wpadłam na jakiś błyskotliwy pomysł. Albo właśnie rozpoczęła się szalona dyskoteka mikroorganizmów. Jedno z dwóch.

– No dobra, ta teoria brzmi dość prawdopodobnie, ale raczej nie dowiemy się na ile jest prawdziwa – zastanawiała się Applejack. – Twilight jest niestety już daleko, a bez niej możemy równie dużo, co tłusty wieprzek przewrócony na plecy.

– Wybaczcie mi moje manieri... nieładnie jest tak podsłuchiwać damy – wtrącił się niespodziewanie Greysheer, pojawiając się między nimi – ale niechcący usłyszałem ostatnią część waszej rozmowy. Jeśli tylko zechcecie, mogę spróbować przebadać ten przedmiot, o którym wspominałyście.

Przyjaciółki wymienili spojrzenia. Nie mogły do końca ufać paladynowi, wyraźnie próbował wtrącać się w ich sprawy, a jego intencje wciąż pozostawały nieznane. Z drugiej strony, co im szkodziło zdać się na jego umiejętności? Nie chodziło mu przecież o zdobycie Berła, miał już wiele świetnych okazji by im je ukraść. Mógł na przykład zwędzić je gdy spały jak zabite w jego kryjówce, lub podczas ich kłótni.

Applejack przypominała sobie, że Guard podczas ich podróży pociąganiem wspominał coś o zagrożeniach związanych z próbami zagłębiania się w rdzeń artefaktu. Nie bardzo wiedziała co to znaczy, ale z pewnością nie wynikałoby z tego nic dobrego.

– Z chęcią byśmy ci na to pozwoliły, ale to ciupkę niebezpieczne – powiedziała farmerka. – Mógłbyś zrobić sobie krzywdę. Albo nam – dodała pod nosem.

– Nie musicie się o mnie martwić, szlachetne panie, miałem już w swojej karierze do czynienia z ogromem niebezpiecznych magicznych przedmiotów – odparł Greysheer z całkowitą pewnością siebie dźwięczącą w głosie.

– Skoro tak mówisz... – stwierdziła wyraźnie nieprzekonana Applejack.

– Dobra, ale nie wiń nas, jeśli zmienisz się w śliniącego się na widok mózgów zombie – dodała Rainbow Dash.

– Obiecuję – odrzekł z uśmiechem ogier. – Ale to i tak mi raczej nie grozi.

Wszyscy spojrzeli na Applejack. To do niej, jako przywódczyni należała decyzja. Pomarańczowa klacz głośno przełknęła ślinę. Teraz już wiedziała jak czuła się Twilight podczas całej tej wyprawy. Zdecydowanie nie było to przyjemne uczucie.

Farmerka błyskawicznie przeanalizowała wszystkie za i przeciw. W końcu jednak musiała wydać werdykt. Odetchnęła mocno dwa razy. Cóż, do tej pory Greysher wydawał się im sprzyjać – przecież uratował im życie i zaopatrzył w swoim schronieniu. Zaofiarował się pomóc w dalszej wędrówce. Jaki miałby mieć cel w oszukiwaniu ich?

– W takim razie... trzymaj – zdecydowała, przekazując Berło paladynowi. Przez chwilę, gdy trzymała artefakt w kopytkach, zdawało jej się, że poczuła bardzo nieprzyjemne lodowate mrowienie, choć to równie dobrze mogła być po prostu jej wyobraźnia.

Greysher ostrożnie, niemal z namaszczeniem pochwycił ofiarowany mu przedmiot i podniósł go do góry, oglądając pod światłem, jakby dla potwierdzenia jego autentyczności. Przez chwilę podziwiał kunsztowne wykonanie i wspaniałe, choć mocno niepokojące detale, a następnie odetchnął kilka razy głęboko i zamknął oczy. Siedział nieruchomo, pogrążony w transie i tylko delikatne ruchy powiek zdradzały, że w ogóle żyje. Dopiero po kilku wypełnionych niepokojem minutach ogier powrócił w pełni do swojego ciała. Westchnął i spojrzał prosto na przyjaciółki z czymś na kształt smutku.

– Więc jak, odkryłeś coś? – zapytała z napięciem Applejack.

– Tak, mniej więcej – odpowiedział paladyn, przecierając sobie powoli twarz kopytkiem. – Miałycie sporo racji, Berło rzeczywiście może mieć na was olbrzymi wpływ. Bo widzicie... ten artefakt ma naprawdę niezwykle właściwości. Wygląda na to, że potrafi ingerować w sny, wywoływać wizje i obnażać najgorsze koszmary.

– Co to ma wspólnego z naszym zachowaniem? – zdziwiła się Rainbow Dash.

– Nawet nie zdajecie sobie sprawy z tego, jak wielki wpływ mają na was sny. Mogą na przykład zaszczerpić irracjonalne lęki, wyeksponować niechciane cechy, a nawet nakłonić do agresywnych zachowań...

– Kapkę trudno mi w to uwierzyć – stwierdziła Applejack. – Nawet nie pamiętam tych snów, więc jak mogą mną tak manipulować?

– Och, tutaj w grę wchodzi podświadomość. Sporo rzeczy robimy machinalnie, odruchowo, nawet o nich nie myśląc. Podobnie jest w tej sytuacji. Mimo luk w pamięci, automatycznie dostosowujesz się do odebranej przez mózg sytuacji. Oczywiście nie musicie pozostawać bierne, możecie z tym skutecznie walczyć.

– Ale jak, do siana, mamy niby to robić?

– Właśnie tak, jak teraz. Po prostu starajcie się nie być stłumione i wyciszone. Myślcie o radosnych rzeczach, nie ulegajcie melancholii, bo efekt może się jeszcze wzmocnić.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić – mruknęła Rainbow.

– Brr... Mówisz o tym kiju, jakby był żywy i całkiem inteligentny – wzdrygnęła się Applejack. – Bardzo mi się nie podoba, że te plugastwo miesza mi we łbie.

– Mnie też. Zniszczy go jak najszybciej i wracajmy do domu – dodała niebieska klacz z nutką zmęczenia w głosie. Farmerka spojrzała na nią z ciekawością. Jeszcze nigdy nie słyszała, by przebojowa i zawsze pełna wigoru przyjaciółka mówiła z takim zrezygnowaniem w głosie.

– Hej, ten wyjątkowo nieprzyjemny i podejrzanie pozbawiony zwierząt las się chyba wreszcie kończy! – zawołała z przodu Pinkie, przykładając oba kopytka do twarzy dla wzmocnienia efektu. Applejack i Rainbow spojrzały w tamtym kierunku. Rzeczywiście, drzewa zdawały się odrobinę przerzedzać.

– Wszystko było tutaj takie ciche i nudne, może dalej jest choć trochę ciekawiej? – dodała różowa klacz z entuzjazmem.

– Jeśli przez „ciekawiej” rozumiesz „niebezpieczniej z powodu gryfów, które są w stanie cię błyskawicznie wypatroszyć i upiec na wolnym ogniu”, to tak, w istocie – odpowiedział z lekkim znudzeniem Greysher.

– To nie brzmi jak dobra zabawa. W szczególności dla nas – zmartwiła się Pinkie.

– Ja tam nie mam zamiaru dostarczać jakimś przerośniętym łabędom rozrywki – burknęła Applejack.

– Spokojnie, przecież podróżujecie z wspaniałym i niepokonanym paladynem! – Ogier wypiął dumnie pierś. – Ze mną nic wam nie grozi.

Wraz z tymi nieszczególnie przekonującymi słowami, towarzysze wydostali się wreszcie ze zbitej masy leśnej. Drzew co prawda nadal nie brakowało w okolicy, ale przestały tworzyć taką gęstwinę jak wcześniej. Przez liczne prześwity zaczęło przedostawać się do nich cudownie kojące światło słoneczne. Narastająca do tej pory atmosfera zaszczucia niemal całkowicie wyparowała w obliczu radości, jaka wypełniła nagle wszystkie klacze. Czuły wolność, która choć złudna, odurzyła ich swoją wspaniałą wonią. Z nową siłą ruszyły w dalszą drogę.

\*\*\*

– No i to by było na tyle, jeśli chodzi o przyjemną i wesołą podróż – westchnęła Pinkie, bawiąc się bez przekonania nadmuchanym chwilę wcześniej balonikiem.

Cały entuzjazm szybko wyparował, gdy przyjaciółki zdały sobie sprawę, że ponownie podróżują przez nudne zaśnieżone pustkowia. Na szczęście klimat był tutaj zdecydowanie cieplejszy niż na szczytach Crystal Mountains, a biały puch zalegał niewielką warstwą, nie utrudniając znacząco wędrówki.

– Ten las może i był niepokojący – odezwała się lekko sfrustrowana Applejack – ale tutaj czuję się strasznie odsłonięta. Każdy z odległości co najmniej pięciu rzutów kamieniem mógłby nas zobaczyć.

– To rzeczywiście dość ryzykowne przedsięwzięcie – przyznał ponuro Greysher. – Niestety nalegałyście na pośpiech, więc w tym przypadku wędrówka przez te tereny była jedyną sensowną opcją. Mogę was jedynie pocieszyć, że szansa napotkania tutaj jakiegoś gryfa jest doprawdy nikła.

Ponadto okolica obfituje w lasy i bory, więc wkrótce znowu powinniśmy znaleźć się pod osłoną drzew.

– Cudownie – skomentowała Applejack. – Sama nie wiem co gorsze, śnieżna pustynia, czy przerażająca puszcza.

– Ech, nie to, że narzekam, ale... ciągle podróżujemy po jakichś pustkowiach – mruknęła Rainbow. – Serio, czy tak wygląda wszystko na północ od Equestrii? Nie dziwię, że nikt nie wyjeżdża tutaj na wakacje.

– Nie zapominaj o potworach! – krzyknęła wesoło Pinkie. – Potwory i Pustkowia to nasz chleb powszedni! Hej, to trochę brzmi jak nazwa dla systemu RPG... P&P, dokładnie jak moje inicjały, ha!

Śluchając jednym uchem dalszej części rozmowy przyjaciółek, Greysher uśmiechnął się smutnawo. Na razie wszystko szło podejrzanie łatwo, lecz paladyn przeczuwał, że taki stan nie utrzyma się zbyt długo. Życie ma brzydką tendencję do płatania ohydnych psikusów w najmniej odpowiednim momencie.

Tej nocy obozowali w niewielkim zagłębieniu w ziemi, które mogło ukryć ich przed ciekawskimi oczami. By nie przyciągać niepotrzebnej uwagi, postanowili podarować sobie rozpalanie ogniska i usnęli szczelnie otuleni w śpiwory. Na szczęście noc okazała się stosunkowo ciepła jak na tamtejsze standardy, ponadto wiatr niemal całkowicie ucichł, jedynie od czasu do czasu atakując silniejszym podmuchem, więc strudzeni wędrowcy nie mieli problemów z szybkim zaśnięciem.

Następny dzień zdecydowanie nie obfitował w ciekawe wydarzenia. Początkowo kucyki kontynuowały podróż przez odsłoniętą równinę, później wkroczyły do sporego boru, gdzie pierwszy raz od dłuższego czasu napotkały na duże zwierzęta. Trójka klaczy zachwyciła się majestatycznym pięknem i wdziękiem napotkanych łani, ale na widok sporej gromadki dzików wraz z młodymi już nie czuły się tak szczęśliwe. Ominęły stadko szerokim łukiem, starając się ostrożnie stawiać kopyta, by nie zaniepokoić zwierząt. W tym momencie poczuły szczególną tęsknotę za Fluttershy, która z pewnością nie miałaby żadnych problemów z uspokojeniem co agresywniejszych mieszkańców lasu, no i mogłaby godzinami opowiadać o napotkanych przez nie okazach.

Także i tej nocy nie wydarzyło się nic godnego odnotowania, choć gdy już wszyscy smacznie spali, Pinkie Pie niespodziewanie obudziło wyraźne drżenie jednej z kończyn. Różowa klacz przez chwilę leżała nieruchomo, jakby czekając na nawrót dziwnego odruchu, ale gdy nic takiego się nie wydarzyło, wzruszyła ramionami i ponownie zapadła w głęboki sen.

Było już dawno po południu, gdy Greysher nagle zatrzymał się pół kroku i podniósł ostrzegawczo kopytko do góry. Zanim przyjaciółki zdążyły się poważnie zaniepokoić, zrobił parę kolejnych kroków i pochylił się nad ściółką, najwyraźniej wnikliwie analizując teren. Rzeczywiście, coś w tym miejscu wyróżniało się na tle okolicy. Śnieg był tam szarawy, gdzieś tam spomiędzy bieli prześwitywała goła gleba, dało się także wypatrzyć sporą ilość patyków ustawionych w ładny stosik. Paladyn zajął się badaniem zwęglonych kawałków węgla, lekko marszcząc przy tym czoło i mamrocąc coś po cichu.

- Ktoś tu obozował – stwierdziła odkrywco Applejack. – Czy to mogły być gryfy?
- Jestem o tym całkowicie przekonany – odpowiedział Greysher, wciąż nachylając się nad pozostałościami po ognisku.
- Skąd ta pewność? – zapytała Rainbow Dash, wytężając wzrok w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek, które pomogłyby jej zidentyfikować tożsamość odpoczywających tu niegdyś stworzeń. Bezskutecznie.
- Gdybyście spędziły połowę życia na szpiegowaniu gryfów, to też byłybyście wyczulone na obecność niektórych śladów – odrzekł pobłaźliwie paladyn.
- Skoro umiesz odczytać te poszlaki, to powiedz jak dawno tu przebywały te pokraczne indyki? No i po kiego grzyba w ogóle przybyły w te miejsce? – dopytywała się nerwowo Applejack.
- Obozowały tu jakiś tydzień temu. Co do drugiego pytania... Widzieliśmy po drodze sporo zwierzyny, prawda? Oznacza to, że te gryfy były najprawdopodobniej myśliwymi. Spójrzcie na to – wskazał na wyraźnie rozkopaną ziemię – ktoś wyraźnie tutaj kopał. Pewnie pogrzebali tutaj wnętrzości zabitych zwierząt.
- To okropne! – zawołała wyraźnie przestraszona Pinkie. – Czyli to prawda co mówią w mrocznych spelunkach i ponurych karczmach? Gryfy rzeczywiście jedzą... mięso?
- Ależ oczywiście, w końcu są drapieżnikami. Mają to w genach – odpowiedział spokojnie ogier.
- Czyli... mogą nas pożreć? – przeraziła się różowa klacz. – Ciekawe, czy smakowałabym takiemu ptaszкови? Chyba nie, w końcu Gilda miała sporo okazji by mnie zjeść, a przecież spójrzcie na mnie! Cała i zdrowa!
- One nie jedzą kucyków. Żadnych inteligentnych stworzeń – wytłumaczył cierpliwie Greysher. – Ograniczają się do zwierząt.
- Aaa, to wiele wyjaśnia! – ucieszyła się Pinkie.
- Nie wiem jak wy, ale mimo wszystko wolałabym tego nie sprawdzać – skomentowała Applejack. – Jak babcię kocham, lepiej trzymać się na jak największą odległość od ich szponów.
- Rozsądne podejście – pochwalił paladyn. – Choć teraz może być znacznie trudniejsze do zrealizowania. Te szczątki ogniska możemy potraktować jako symboliczną granicę. Od teraz zaczniemy podróżować po terenach Berserkerów.
- To ci, którzy nas tak bardzo nienawidzą, że najchętniej by nas oskubali i wrzucili do kotła z wrzącym olejem? – upewniła się Rainbow.
- Trafny opis.
- Tylko się upewniałam – mruknęła, uderzając cichutko kopytkiem o kopytko. Jeśli doszłoby do walki, to tanio by swojej duszy nie sprzedała.
- Zważywszy na okoliczności, mam wam do opowiedzenia coś bardzo ważnego. – Paladyn ściągnął z głowy hełm, by podkreślić doniosłość chwili. Ze swoją zbroją nigdy się nie rozstawał, nawet na czas snu.
- Wędrówka przez zamieszkaną część Preeze to niezwykle trudna i wymagająca olbrzymiej ostrożności sprawa. Musimy zwracać uwagę na wszystko, bo nawet najmniejsze uchybienie może nas

zdemaskować. Dlatego też jestem zmuszony zapoznać was z paroma zasadami jakie będą panować na aż do czasu, gdy uda nam się ponownie dostać do dziczy. Chyba same się zgadzacie, że to konieczne?

Odpowiedział mu chór niewyraźnych pomruków, oznaczających w domyśle zgodę.

– Doskonale! Mowę wstępną sobie podaruję, nie chcę was przecież zanudzać. Także, nie przeciągając już ani chwili dłużej, oto co musicie wiedzieć... Zasada pierwsza, staramy się rozmawiać szeptem, lub w ogóle. Zasada druga, nie pozostawiamy żadnych śladów swojej obecności. Zasada trzecia... – Wywód trwał jeszcze przez dłuższy czas, ponieważ Greysher postanowił omówić z nimi każdy, najmniejszy nawet szczegół dotyczący bezpieczeństwa. Klacze słuchały uważnie, choć z trudem powstrzymywały ziewanie. W końcu od stosowania się do tych zaleceń mogło zależeć ich życie.

– ...Czy wszystko zrozumieliście? Mam coś powtórzyć?

– Nie! – krzyknęła nieco zbyt szybko Rainbow. – Znaczy się, nie, dzięki, wszystko jest już jasne.

– Dobrze, ale postaraj się na przyszłość uważać z tymi wrzaskami – polecił surowo paladyn. – Przecież nie chcemy ściągnąć na siebie bandy wściekłych gryfów.

– Taa, masz rację... Przepraszam – odpowiedziała dużo ciszej nieco skruszona lotniczka.

– Skoro kwestie techniczne mam już za sobą, nie pozostało nam nic innego, jak wkroczyć wprost do lwiej jamy. Albo raczej ptasiego gniazda, w tym przypadku – stwierdził Greysher, po czym wyciągnął z juków mapę i kompas. Przez chwilę coś mierzył i wyznaczał, po czym schował oba przedmioty z powrotem do torby i już bez dalszej zwłoki wznowił marsz. Klacze nie mogły zrobić nic innego, jak tylko podążyć za nim, choć idea marszu przez te niebezpieczne tereny wydawała im się teraz czystym szaleństwem.

Kilka kolejnych dni minęło drużynie na podróży wypełnionej na zmianę przedzieraniem się przez dzikie, leśne ostępy, bądź skradaniem się po przerażająco odsłoniętym terenie. Niekiedy Greysher uznawał wychodzenie za dnia z lasu za zbyt niebezpieczne i musieli przeczekać w gęstwinie aż do zapadnięcia zmroku, by móc kontynuować wędrówkę. W takich przypadkach próbowali sypiać w dzień, ukryci w jakichś rozłożystych krzakach, albo naturalnych zagłębieniach terenu. Przestali też rozpalać na noc ogniska i dopiero gdy zostali pozbawieni blasku i ciepła ognia, zdali sobie sprawę jak bardzo jego obecność była dla nich kojąca.

Klacze wciąż miały okropne koszmary, ale tym razem starały się z nimi walczyć.

Po jakimś czasie towarzysze zaczęli napotykać na pierwsze ślady cywilizacji. Najpierw były to opuszczone obozowiska myśliwych bądź drwali, później małe skupiska żałośnie wyglądających baraków, a w końcu nawet całe osady i małe miasta. Kucyki starały się omijać te miejsca szerokim łukiem, najczęściej nocą, by zminimalizować ryzyko napotkania gryfów. Na razie szczęście im sprzyjało, ani razu nie wpadli na żadnego z nich. Mimo to, cała ta sytuacja wywoływała u nich nieustający strach i przewrażliwienie. Kto wie, co by się z nimi stało, gdyby złapano ich w samym środku terytorium Berserkerów?

Po ominięciu największego miasta, jakie do tej pory napotkali, wędrowcy mogli wreszcie z ulgą położyć się w cieniu niewielkiego drzewa. Całe te skradanie się i kluczenie wysysało z nich wszelkie siły. Jedynie Greysher trzymał się całkiem nieźle, co okropnie denerwowało klacze. W tej chwili zerknął właśnie na jedną ze swoich niezastąpionych map, na którą naniesioną miał lokalizację poszczególnych gryfich osad. Ze zmarszczonym czołem, ogier kreślił zawiłe linie, próbując skorygować trasę w najdogodniejszy dla nich sposób. W końcu z westchnięciem rezygnacji schował wszystkie przedmioty i zwrócił się do reszty.

– Mamy poważny problem. Zbyt optymistycznie oceniłem wasze możliwości, wypadki losowe na jakie przydarzyły nam się podczas marszu, a także tempo w jakim będziemy w stanie dotrzeć do mojej najbliższej kryjówki. Dzieli nas od niej jeszcze dobre trzy dni forsownego marszu, a nam, jak zapewne same zauważyliście, kończą się już zapasy.

– Jakoś sobie poradzimy – dziarsko stwierdziła Applejack. – Co nie, dziewczyny?

Odpowiedziały jej niezbyt entuzjastyczne burknięcia. Pomarańczowej klaczy zdarzało się od czasu do czasu znosić chude dni na farmie, szczególnie podczas nieurodzaju, ale Pinkie i Rainbow były przyzwyczajone do regularnych, a często wręcz wyjątkowo sytych (szczególnie w przypadku tej pierwszej) posiłków.

– Wolałbym, żebyście byli w pełni sił – kontynuował paladyn. – Na szlaku czeka nas wiele niebezpieczeństw, a o pustym żołądku znacznie trudniej stawić im czoła.

– Dobrze gada! – wykrzyknęła powierniczka Elementu Śmiechu, przerażona wizją głodówki. – Słuchajcie go, bo on się zna! Na pewno uda mu się upolować gdzieś kilka kilo stokrotkowych herbatników, albo może nawet jakieś małe ciasto...?

– Tylko skąd u licha chcesz wytrzasnąć dla nas żarcie? Po jednej stronie mamy gryfy, a po drugiej dziki las. Może któreś z tutejszych roślin da się jeść? – zapytała Applejack z lekkim poirytowaniem.

– Nie próbowałbym na twoim miejscu. Połowa jest niejadalna, połowa trująca. Istnieje kilka owoców, które można by spożyć, ale poszukiwanie ich zajęłoby nam zbyt wiele czasu, a nie mamy gwarancji, że w ogóle byśmy cokolwiek znaleźli. Nie, ja myślałem o czymś zupełnie innym. Spróbujemy uzyskać co nam potrzeba z jakiejś ze stojących na uboczu chat.

– Nie bardzo rozumiem... Czy ty... – zaczęła niepewnie farmerka, ale Rainbow natychmiast weszła jej ze słowo.

– Namawiasz nas do kradzieży?

– Nazwałbym to raczej konkwiskatą mienia z ramienia wszystkich obrabowanych przez Gryfingów kucyków. Same pomyślcie, ile zła oni nam wyrządzili. W ten sposób tylko uzyskamy to, co od dawna powinno być nasze.

– Zwariowałeś!? Mamy włamać się do czyjegoś mieszkania i go okraść jak jacyś bandyci? – piekliła się tęczowogrzywa klacz. – Mowy nie ma. A w ogóle, to czy ty nie jesteś paladynem? Takim prawym, odważnym i szlachetnym gościem? Jak możesz coś takiego w ogóle proponować!?

– Cel uświęca środki – odrzekł chłodno Greysher, z niechęcią patrząc na wciąż wrzącą ze wściekłości Rainbow Dash.

– Nie – skomentowała spokojnie Applejack, gestem uciszając wściekłą przyjaciółkę. – Nigdy bym się zgodziła, co by ktoś w mojej obecności dopuścił się czegoś tak okropnego i nieuczciwego. Rozumiesz... partnerze? – zapytała z nutką wyzwania w głosie.

– Ach, oczywiście, tylko widzisz... niestety nie podlegam jakimś tam twoim śmiesznym rozkazom, o milady – odpowiedział przez zaciśnięte zęby Greysheer. – Zrobię to, co uważam za słuszne, niezależnie od tego co mi mówią inni, a sprawowanie nad wami opieki oznacza także obowiązek wyżywienia was!

Zapadła niezręczna cisza. Dwie klacze i ogier piorunowali się wzrokiem...

– Hej, to napadamy na ten bank, czy nie? – zapytała Pinkie przebrana w wyjątkowo gustowny kostium bandyty, bez wątpienia roboty Rarity.

– Po pierwsze, jak już żem powiedziała, żadnego napadania na mojej warcie – zaczęła Applejack, przenosząc wzrok z paladyna na miłośniczkę imprez. – Po drugie, nie było przecież mowy o żadnym banku, zresztą po co, do stada galopujących bizonów nam teraz pieniądze? A po trzecie, mam nadzieję, że ten strój służy ci tylko do zabawy, bo wygląda żdziebko zbyt profesjonalnie, jak na moje oko...

– Cii! – syknął nagle Greysheer, unosząc wysoko głowę i strzygąc uszami.

– Co, nie wiesz co powiedzieć i teraz próbujesz mnie uciszyć? – zdenerwowała się farmerka. – Nie strugaj wariata, wszystkie...

– Uciszyć się, w imię wszystkiego co święte! – Ogier bezceremonialnie zatkał wyraźnie oburzonej klaczy usta wyciągniętym kopytkiem. – Chyba coś słyszałem.

Wszyscy zamarli w bezruchu, wyęzając słuch. Rzeczywiście, z dala dobiegły ich odgłosy jakiejś dźwięki, przypominające odbywającą się gdzieś w oddali rozmowę.

Towarzysze natychmiast wskoczyli do najbliższych krzaków, które wskazał im Greysheer, starając się przy tym zachowywać jak najciszej. Atmosfera momentalnie zrobiła się napięta, a strach i wątpliwości wypełniły wnętrzości kucyków. Róg paladyna rozjarzył się w cieniu delikatnym blaskiem, najwyraźniej ogier rzucał jakieś zaklęcie, choć jego efektów klacze nie zdołały zaobserwować.

Po czasie, który zdawał się wiecznością, głos przybrał na sile i już wkrótce rozległ się niebezpiecznie blisko ich kryjówki. Spomiędzy gęstwiny liści podróżnicy zauważyły dwójkę gryfów, przelatujących przed ich kryjówką w ślimaczym tempie, nisko nad ziemią. Z wyraźnym znudzeniem rozglądały się na boki, jakby czegoś szukały, choć nie miały zbytniej nadziei tego znaleźć. W promieniach słońca zabłysły przytroczone do ich boków dzidy i nieduże topory, ponadto były odziane w skórzane, ćwiekowane pancerze i dziwne, poskręcane rogate hełmy, wykonane z niezidentyfikowanego zielonkawego metalu.

Oba gryfy były płci męskiej i oba miały wielkie, porządnie zapuszczone brody, zaplecione w wymyślne warkoczyki. Rozmawiały w tym samym języku, jakiego używano w Equestrii, ale z jakimś nietypowym, ostrym akcentem.

– ...Jednym ciosem! Na Odyńca, tyle sikającej juchy nie widziałem przez całe moje życie! Radość z bitki zaczęła pulsować w moich żyłach, a jej zew zmuszał mnie do coraz to bardziej bohaterskich czynów. Przeleciałem przez burtę na statek tych wieprzy i wyciągnąłem swój topór z

dzioba, a następnie urządziłem im taką jatkę, że bogowie musieli z uznaniem kiwać głowami widząc moje dzieło!

– Całkiem nieźle, Björn – pochwalił go drugi gryf. Po głosie można było poznać, że był starszy od towarzysza. – Popracuj jeszcze nieco nad ekspresją i będzie wystarczająco dobrze.

– Nie zawiodę przecież tych wszystkich pisklaków – wypiął dumnie pierś młodszy Gryfing. – W końcu Noc Bajęd i Baśni ma miejsce tylko raz do roku!

– Otóż to, tradycji musi się stać za dość. Tylko nie zapomnij swojej kwestii, bo osobiście cię..

Reszty rozmowy kucyki już nie dosłyszały. Oba gryfy coraz bardziej się od nich oddalały, nieświadome bandy nieparzystokopytnych ukrywających się w pobliskich krzakach i już wkrótce w lesie zapadła niemal idealna cisza. Jedynie jakiś dzieciół w pobliżu z upodobaniem stukotał w korę drzewa, zapewne w poszukiwaniu tłustych korników.

– W porządku, oddalili się na wystarczającą odległość – powiedział po kolejnej nieskończonej długiej chwili Greysheer.

Rainbow Dash z wyraźną przyjemnością uniosła się kilka metrów nad ziemię, rozciągając skrzydła. Applejack potężnie się przeciągnęła, z zadowoleniem słysząc trzask swoich stawów, a Pinkie Pie zwyczajowo zaczęła podskakiwać energicznie w miejscu.

– Nasłuchiwały żeśmy się, jakie to te gryfy nie są przerażające, a tu proszę! – odezwała się farmerka, zerkając kątem oka na ogiera. – Wydawali się być całkiem sympatyczni.

– Co to jest „jucha”? – zapytała różowa klacz, ale została całkowicie zignorowana przez resztę.

– Zdawali się mili, nieprawdaż? – sarknął z wyraźną kpina w głosie paladyn. – Gdyby cię jednak zobaczyli, to nie miałybyś nawet czasu się przedstawić, nim zrobiliby z ciebie poduszeczkę na dzidy. Pamiętaj, oni najpierw działają, potem pytają. W szczególności jeśli w grę wchodzi kucyki, do tego na ich własnym terenie. Przecież każdy zdrowy na umyśle gryf wzięłby nas w tym momencie za szpiega. No bo co normalni Equestriańczycy mieliby robić w tej okolicy?

– Co racja, to racja...

– To byli żołnierze? – zainteresowała się Rainbow Dash.

– Co to jest jucha? – spróbowała ponownie Pinkie, z tym samym skutkiem co poprzednio.

– Strażnicy. Patrolują tereny w pobliżu większych miast. Od razu mówię, noszona przez nich broń bynajmniej nie służy tylko na pokaz. A już w szczególności w walce w zwarcu każdy kucyk ma mizerne szanse z gryfem. Ich najgroźniejszym orężem nie są topory, lecz naturalne dzioby i szpony, nie wspominając nawet o większych od nas rozmiarach i masie. Nie chciałybyście dostać się w zasięg ich łap...

– Hej, skoro przelatywali zaraz obok nas, dlaczego nie ogłuszyłeś ich magią, albo coś w tym stylu? – dopytywał się pegaz.

– A co by nam to dało? Tylko wzbudzilibyśmy niepotrzebne zainteresowanie. W mieście szybko zauważyliby nieobecność dwóch strażników.

– Racja – odparła krótko zniechęcona Rainbow.

– Odpowie mi ktoś wreszcie!? – zdenerwowała się różowa klacz, podskakując i wymachując kopytkami by zwrócić na siebie uwagę.

– Tak, tak, Pinkie, to były właśnie gryfy – odpowiedziała nieprzytomnie Applejack. Myślam była całkowicie gdzie indziej, więc nawet nie próbowała słuchać o co przyjaciółka się właściwie pyta.

– Po co w ogóle używałaś magii tam, w krzakach? – zwróciła się do Greyshera. – Przecież nic się nie stało.

– Ależ wręcz przeciwnie. Ukryłem nasz zapach przed przeciwnikiem – odparł spokojnie paladyn. – Co prawda z takiej odległości raczej nie powinni byli nas wyczuć, ale ostrożności nigdy za wiele.

– Więc jucha oznacza gryfy? – wymruczała do siebie Pinkie, przypominając sobie rozmowę pomiędzy dwoma Gryfingami.

– No, w tym kontekście to rzeczywiście brzmi ciutkę ordynarnie. Czego oni teraz uczą te dzieci? – westchnęła bezsilnie, poruszona do głębi stopniem w jaki stacza się otaczający ją świat.

\*\*\*

– No, dalej! – krzyknął Kunan, popędzając kucyki ciągnące wleczący się na samym końcu karawany wóz. – Widzicie te chmury? – wskazał na kłębiące się wysoko nad nimi ciemne kształty, wyraźnie zwiastujące burzę.

– Dobrze by było dotrzeć do celu zanim rozpęta się tutaj lodowe piekło, nie sądzicie?

– Ta jest! – odpowiedziała posłusznie dwójka ogierów.

– Więc pośpieszcie się z łaski swojej, albo będę musiał użyć całego mojego daru przekonywania, a tego z pewnością byście nie chcieli – warknął groźnie Kunan, po czym pokłusował na czoło pochodu. Kuce pociągowe tylko wymruczały pod nosem coś, co brzmiało jak paskudne obelgi i podwoiły wysiłki, szybko zmieniając dystans dzielący ich od reszty.

W szczęśliwej, wspaniałej Equestrii, pod rządami miłościwie panujących księżniczek, każdy bez większego problemu mógł sobie znaleźć uczciwą i stosunkowo dobrze płatną pracę. Problem bezrobocia właściwie tam nie istniał, sporo różnorodnych gałęzi gospodarki prężnie się rozwijało i wciąż pozostawało sporo nisz, więc jeśli ktoś był utalentowany, mógł z łatwością zbić prawdziwą fortunę.

Niestety niektórzy woleli drogę na skróty. Były to jednostki bardziej „ambitne” od reszty, skorumpowane, miłujące błyszczącą monetę ponad wszystko inne, lub po prostu pozbawione skrupułów.

Wśród takich osobników sporą popularnością, a także nieustającą sławą cieszył się Kunan. Niebieskawy kucyk ziemski o czarnej grzywie, intensywnie niebieskich oczach, przeszywających na wylot każdego na kogo spojrzy i potężnej, heroicznej posturze często bywał na ustach całego equestriańskiego półświatka. Mówiono, że pochodzi z jednej z barbarzyńskich wiosek leżących na dalekiej północy, sporo za Crystal Empire. Osady te niemal nie utrzymywały kontaktów z południem i

wiecznie walczyły o własną autonomię, choć Equestria nigdy nie próbowała przejąć tamtych ziem, ani nawet nie zasugerowała, że kiedykolwiek będzie się nimi interesować. Gdy księżniczka Celestia w swojej nieskończonej dobroci postanowiła otworzyć w tamtych okolicach mały sklepik, który miał służyć za punkt wymiany towarów z tubylcami, barbarzyńcy zebrali się w sporą grupę, przy czym niektórzy wzięli ze sobą błędnie zapisane banery i propagandowe plakaty, z myślą urządzenia pikiety. Następnie zaczęli huczną demonstrację, wykrzykując hasła odnoszące się do wolności, jedności, a także nieograniczonego dostępu do alkoholu. Sytuacja zakończyła się wyjątkowo dramatycznym, acz przypadkowym podpaleniem sklepiku przez jednego z podeksytowanych dzieciaków (dlatego ważne, by wpajać żrebakom, że nie wolno bawić się rozpalonymi łuczycami!). Szybko obrócono ten przykry incydent na własną korzyść, a dzikusy coraz częściej wspominały o propagandowych korzyściach jego zajścia, co zaowocowało jedynie zaognieniem konfliktu pomiędzy prymitywną północą, a cywilizowanym południem.

Co do samego Kunana... Krążyło tak wiele opowieści na temat jego bohaterskich czynów, wojen z mrocznymi czarnoksiężnikami, romansów z pięknymi księżniczkami władającymi egzotycznymi, zamorskim krainami, starożytnych skarbów jakie udało mu się zdobyć, że trudno było odróżnić prawdę od fikcji. Z pewnością rzeczywiście zabił bagienną hydrę, nie ma też wątpliwości, że to on wraził ostrze w pierś złego lorda Obscure'a podczas wyzwalań wielkiej pustyni spod jego panowania. Reszty legend nie sposób zweryfikować.

Kilkukrotnie wdzięczne władczynie oferowały mu swoje kopytko i koronę, ale za każdym razem odmawiał. Ponoć mawiał „jeśli mam przejąć władzę w państwie, to tylko za pomocą własnej siły, a nie łaski pięknej monarchini”.

Po wielu latach wypełnionych szalonymi przygodami i wojaczką na wszelkich możliwych frontach, ogier osiągnął wiek średni, a jego szalone podejście do życia uległo olbrzymiej zmianie. Adrenalina przestała buzować mu w żyłach o poranku, chęć przemierzania odległych krain zastąpiona została przez rozmyślanie o ustatkowaniu się, więc postanowił odciąć się od przeszłości, puścić w niepamięć nierealne marzenia o własnym państwie, i oddać się przeprowadzaniu nielegalnych, lecz niesamowicie zyskownych transakcji na czarnym rynku.

Szybko przekonał się, że w ten sposób można zarobić dużo więcej i dużo szybciej niż na niepewnych, grożących śmiercią wyprawach. Od zawsze był rozsądny, chytry i przebiegły, a jego naturalna smykałka do interesów wprowadzała w osłupienie nawet najbardziej doświadczonych pejsiastych kontrahentów.

Kunan założył w końcu własny szemrany interes, polegający na nielegalnej wymianie towarowej pomiędzy Equestrią a Crystal Empire. Szczególnie cenny okazał się kontakt z kucykiem znanym w bandyckich kręgach jako „Mecenas”, którego prawdziwa tożsamość była dla wszystkich całkowitą tajemnicą. Skupywał on magiczne przedmioty i artefakty za prawdziwie bająćskie sumy pieniędzy. Gdy Kunan przybywał do imperium w interesach, zawsze starał się mieć ze sobą coś cennego dla Mecenasas. Handel czarną magią był zakazany i bezwzględnie tępiony (a dziwnym trafem większość z artefaktów znalezionych przez byłego barbarzyńcę często miała z nią coś wspólnego), więc od wymiany musiało dochodzić poza murami miasta. A jako, że większość towarów jakimi dysponował ogier pochodziła z lewego źródła, bądź było skrajnie niebezpieczne, musiał sprzedawać swoje dobra w odgórnie wyznaczonym miejscu, czyli starej wieży strażniczej, leżącej pół dnia drogi od Crystal Empire. Z zewnątrz wyglądała ona jak rozpadająca się ruina, na dodatek chroniona przed nieproszonymi gośćmi przerdzewiałymi, lecz wciąż potężnymi kratami. W środku prezentowała się

dużo lepiej, została specjalnie umocniona i zabezpieczona przed zawaleniem się. Tylko nieliczni wiedzieli, że służy jako złodziejska melina, a także miejsce nielegalnej wymiany towarów.

Kunan po raz kolejny pogonił opieszłych towarzyszy, złorzecząc groźnie pod nosem. Jego załogę stanowiły same zaufane kuce, a tym samym najgorsze możliwe męty spod czarnej gwiazdy, które w ten czy inny sposób miały wobec niego olbrzymi dług wdzięczności. Jednego uratował od szubienicy, drugiego wsparł w bójce ze strażą, trzeciego przygarnął z ulicy, zdychającego z głodu... Najcenniejszym członkiem bandy był dla herszta siwobrody jednorożec o nieznanym imieniu (nawet pod groźbą śmierci stanowczo wyparł się jego podawania). Odkąd Kunan ocalił go przed spaleniem na stosie przez mieszkańców wyjątkowo hermetycznej wioski, starzec służył mu najlepiej jak umiał. A ponieważ potrafił kontaktować się za pomocą magii z klientami zainteresowanymi wymianą towarów, to szybko okazał się niezastąpiony.

– Infant! – przywódca zwrócił się do maszerującej na samym przedzie kłaczy. Była całkiem ładna, ale wyglądała też na taką, co potrafi złapać niechcianego adoratora i jednym kopytkiem wrzucić go wysoko na drzewo.

– Jak daleko od wieży jesteśmy?

– Nie zdążymy tam dotrzeć przed burzą – odparła z przekąsem. Jej dziewczęcy głosik niezwykle kontrastował z umięśnioną, masywną sylwetką.

Kunan zaklął szpetnie. Miewał już do czynienia z burzami śnieżnymi, ba, wychował się przecież w dużo mroźniejszym klimacie niż tutejszy, ale tak paskudnej pogody od dawna nie widział, a od najbliższego schronienia dzielił ich jeszcze najwyraźniej dobry kawał drogi. Infant nigdy nie myliła się w tych sprawach.

Ogier zerknął z niepokojem na swoje bezcenne towary. Potężny wichur mógł być w stanie zerwać zabezpieczające liny i porwać ze sobą co lżejsze przedmioty, a wizja biegania po lodowej pustyni w celu ich odzyskania wcale mu się nie uśmiechała. W najgorszym razie dałby sobie z nimi spokój. Grunt, to żeby najcenniejsze obiekty były bezpieczne. Kunan podszedł do najmniejszego, ale wyraźnie mocno obciążonego wozu, ciągniętego przez olbrzymiego, białego kucyka, który wyglądał jakby składał się z samych mięśni. Leżał na nim jeden, jedyny kufer, za to wyjątkowo dużych rozmiarów, wykonany z wytrzymałego stopu żelaza i zabezpieczony dodatkowo trzema różnymi zamkami. W środku, oprócz wyjątkowo cennych kamieni szlachetnych, bezcennych dzieł sztuki, czy unikatowych wyrobów mieszkańców dalekich, zamorskich krain, znajdowała się niepozorna książka, która miała wkrótce stać się najnowszym nabytkiem Mecenas. Była stara, może nawet antyczna, a przynajmniej tak oceniał ją Kunan. Zapisana została w dziwacznym języku, nieprzywodzącym na myśl niczego znajomego nawet tak wielkiemu podróżnikowi jak on. Ciekawie prezentowała się też okładka, na której widniały trzy symbole: sierp księżyca, ośmioramienną gwiazdę, w której każde z ramion było zakończone strzałką, oraz rozwidlający się kryształ. Mimo swojego wieku, księga trzymała się całkiem nieźle, co więcej, herszt przemysłowców miał spore wątpliwości czy w ogóle da się ją w jakikolwiek sposób uszkodzić. W ramach testu próbował oderwać róg jednej ze stron. Udało mu się, ale gdy po jakimś czasie otworzył książkę w tym samym miejscu, kartka znowu była cała.

Ciekawa historia wiązała się ze zdobyciem tego przedmiotu. Pewnego razu skierowano do niego młodego, nieco głupawego ogiera, który przedstawił się jako Soft Spade. Młodzieniec zaoferował mu znaną na południowych wykopaliskach księgę, ponoć niezwykle cenną. Na początku Kunan był do tego bardzo sceptycznie nastawiony, ale gdy dostał ów rzecz do kopyt, by sam

zweryfikował jej wartość, całkowicie zmienił zdanie. Z całą pewnością miał do czynienia ze starożytnym artefaktem.

Bez problemu udało mu się drastycznie zaniżyć wywoławczą cenę podaną przez archeologa, kłamiąc odnośnie prawdziwej wartości znaleziska. Ostatecznie wszyscy wyszli z tego zadowoleni. Soft Spade odszedł wesoło pogwizdując z kiesą pełną pieniędzy, a były barbarzyńca zdobył bezcenny przedmiot.

Mocny podmuch wiatru całkowicie orzeźwił Kunana, przerywając mu błogie rozmyślanie. Zaczynało się. Jeszcze tylko zdążył spojrzeć w stronę swojej karawany, znajdującej się kilkanaście metrów od niego, po czym burza nagle zaatakowała całą swoją potęgą.

Z nieba padał niesamowicie obfity śnieg, huczący, porywisty wichur sprawił, że opady wirowały szaleńczo, w dzikiej parodii tańca. Kucyk miał spore problemy z utrzymaniem się na równych nogach, ale rozstawił szeroko kończyny, zamierzając walczyć z żywiołem do końca. Zdążył też założyć ochronną maskę na pyszczek, choć biały puch i tak znajdował drogę do jego twarzy, wdzierając się do ust, wpadając w oczy i utrudniając tym samym dobre rozeznanie w terenie. Rozległy się pierwsze grzmoty, a niebo przecięły zygzaki błyskawic.

Ze wszystkich stron otaczała Kunana ściana śniegu i wiatru, cały świat zawęził się do otaczającego go kokonu. Dowódca karawany zdołał zaczerpnąć głęboki oddech (połykając przy tym sporą dawkę śnieżnych płatków), po czym ryknął tak głośno, że zdołał przekrzyczeć potężną wichurę.

– Zostańcie tam, gdzie jesteście! Pilnujcie towarów!

Miał nadzieję, że ogiery, które do tej pory ciągnęły wozy, wciąż są do nich podczepione. Minimalizowało to ryzyko utraty cennych przedmiotów.

Burza trwała jeszcze przez jakiś czas, z całych sił starając się osłabić kucyki, lecz Kunan znosił ją ze stoickim spokojem, przez cały czas nie zmieniając swojej pozycji nawet na cal. W tych rejonach nie było na tyle zimno, by musiał martwić się zamarznięciem, jakby się tak zastanowił, to nawet trochę się spocił.

Niespodziewanie wszystko ustało, i choć ciemne chmury wciąż groźnie się kłębiły na niebie, to centralnie nad nimi nie było ani chmurki.

– Pewno jesteśmy w samym oku cyklonu – mruknął herszt, głośno i wyraźnie słysząc swoje słowa. Wszystko ucichło. – A myślałem, że taki rzeczy tylko w tropikach się zdarzają...

Wygrzebał się ze stosu śniegu, który pokrył go podczas burzy, a następnie rozejrzał w poszukiwaniu karawany. Zauważył ją natychmiast, przypominała teraz grupkę niewielkich pagórków wyrosłych nagle z trzewi ziemi. Na jego oczach wzniesienia zaczęły się poruszać i pierwsze kucyki wydostały się spod śnieżnej czapy. Kunan westchnął z ulgą. Co prawda zawierucha się jeszcze nie skończyła, czekała ich druga część, ale póki co, wszystko szło całkiem nieźle. Wozy grzecznie stały na swoich miejscach, choć wygrzebanie ich z puchu pewnie chwilę zajmie, a wszystkie skrzynie wciąż był tam, gdzie powinny.

Wtedy jego nos uderzyła osobliwa woń. Warto zaznaczyć, że posiadał węch przewyższający nawet ten, jakim dysponowały najlepsze psy tropiące, dlatego ten zmysł nigdy go nie zawodził.

Zapach gryfa...

Zdążył jedynie poluzować miecz w pochwie i ostrzegawczo krzyknąć, zanim ze sporej połaci śniegu leżącej przed karawaną oderwała się banda pierzastych kształtów. Napastnicy byli pokryci w całości barwami maskującymi, więc nawet wyjątkowo wyczulony wzrok Kunan nie był w stanie wcześniej ich dostrzec.

Załoga karawany jak jeden kuc chwyciła w tym samym momencie za broń i z dziką radością rzuciła się na przeciwników (ogierom przypiętym do wozu zajęło to nieco dłużej, bo musiały się najpierw wyswobodzić). Na straży skarbów pozostała jedynie dwójka kucyków, choć po ich minach można było wywnioskować, że też byli chętni do bitki. Pamiętali jednak dobrze procedury, a rozkazy to rozkazy. Jedyne co mogli zrobić, to przyglądać się zmaganiom z daleka.

Gryfy najwyraźniej nie spodziewały się tak zażartego oporu, bo szybko zaczęły ustępować pola i zostały zepchnięte do defensywy. Walczyły z jakąś dziwną niechęcią, choć z pewnością były nieźle obyte z orężem

Właśnie wtedy do bitwy wkroczył Kunan.

Biegąc na miejsce starcia zdołał przeanalizować na szybko sytuację. Nie było nawet cienia wątpliwości, że wrogowie byli Gryfingami, świadczyły o tym te śmieszne rogate hełmy na ich głowach i gęste brody. Ponadto mieli na sobie szeroki wachlarz różnego typu pancerzy, od skórzanych, po płytowe, co pozwoliło ze sporą pewnością zgadywać, że przeciwnicy należeli do Sępów. Tylko oni odziewali się w tak niejednolite zbroje, ponieważ najczęściej zdobywali je ograbiając ciała pokonanych wrogów.

Kunan zamachnął się swoim olbrzymim dwukopytnym mieczem i zadał druzgocący cios w kierunku najbliższego przeciwnika. Ten jednak zdołał w porę unieść żelazny puklerz przymocowany do lewej łapy i zbić uderzenie, a następnie wprowadzić błyskawiczną kontrę trzymanym toporem. Niebieskawy ogier bez wysiłku uchylił się przed przelatującą stalą, wykonał coś w rodzaju zupełnie niepotrzebnego, ale wyjątkowo efektownego piruetu, a następnie ciał poprzecznie, celując w pierś wroga. Masywny gryf i tym razem ze zdumiewającą jak na swoje gabaryty zręcznością uniknął śmierci, pochylając nisko głowę i pozwalając mieczowi przejść nad nią.

Właśnie na to czekał Kunan. Z szerokim uśmiechem na ustach wykorzystał pęd swojego ciosu, obrócił się tyłem do wroga i... z całej siły kopnął go tylnymi kopytami prosto w łeb. Rozległ się nieprzyjemny chrzęst i Gryfing runął prosto w mięciutki śnieg. Już nigdy nie wstał.

Ogier błyskawicznie podniósł się z ziemi, na której wylądował po wykonaniu ostatniej akrobacji. W samą porę, bo tym razem nacierało na niego dwóch nieprzyjaciół na raz. Z trudem stłumił potężne ziewnięcie. Głupie stworzenia, powinny poddawać się na sam widok takiego herosa jak on.

Przeciwnicy zaatakowali go jednocześnie. Kunan zgrabnym ruchem uniknął cięcia pierwszego ze stworów, jednocześnie z całej siły uderzając swoim mieczem w broń drugiego. Cios był tak potężny, że bez problemu wytrącił topór ze szponów gryfa. Zanim ogłupiały wróg zorientował się co się stało, przywódca karawany wraził ostrze, aż po jelec, prosto w jego pierś. Szybkim ruchem wyciągnął miecz z ciała i odwrócił się, by stawić czoła drugiemu Gryfingowi, ale ten najwyraźniej stracił całą ochotę do walki, bo unióś się w powietrze i w locie zrzucił z siebie niewygodny pancerz.

Jak na komendę, wszyscy pozostali przeciwnicy zrobili to samo. Ucieczka została przeprowadzona błyskawicznie, tylko jednego z nich udało się ciąć w skrzydło zanim zdążył unieść się w powietrze. Zresztą, od razu go dobito.

Herszt przemytników westchnął z wyraźnym zawodem. Te złodziejskie kurczaki nie wiedzą czym jest honorowa walka do końca. Rozejrzał się po polu bitwy, szacując straty. Wypatrzył cztery cielska Sępów, z czego dwa zostały zasieczone przez niego, i tylko jednego martwego ogiera. Kilka kucyków zostało rannych, ale nie na tyle, by mieć problemy z kontynuowaniem wędrówki.

– Tego zmarłego wziąć na któryś wóz – polecił. – Pochowamy go w okolicach wieży. Niech Grom ma go w swojej opiece. Był z niego kawał skurczybyka, ale głowę to miał mocną!

– Wodzu! – zawołał ze zgrozą jeden z podwładnych Kunana, który jako pierwszy dotarł z powrotem w okolice karawany. – Ratt i Black Star! Nie żyją!

– Co?! – ryknął z furją były barbarzyńca. – Czy coś z moich towarów zaginęło?!

– Ja... – przełknął z przerażeniem ślinę wyrostek. Szef go już jednak nie słuchał. W iście rekordowym tempie dotarł do wozów, nie zważając całkowicie na zwłoki dwóch kucyków i poszukał oszalałym wzrokiem jego najcenniejszego kufra.

Zniknął. Powietrze po raz kolejny przeszły pełen wściekłości krzyk.

– Dałem się zrobić jak źrebię! Najprostszy możliwy manewr! – wrzeszczał jak opętany. Załoga karawany próbowała wtopić się w krajobraz i jak najmniej rzucać się w oczy.

– Skusili nas walką z dala od wozów, a następnie druga grupa przekradła się do ładunku, wyrznęła po cichu strażników, wykradła najcenniejsze rzeczy i uciekła zanim ktokolwiek z nas zdążył się spostrzec! Cholerny głupiec ze mnie!

Kunan wziął głęboki oddech. Cała jego furia skończyła się tak nagle, jak zaczęła. Teraz znowu był całkowicie spokojny i trzeźwo myślący.

– Mamy jeszcze szansę ich dorwać. Scamp! – zwrócił się w stronę jedyne go w swojej drużynie pegaza. Wywołany stanął przed hersztem na lekko trzęsących się kopytach.

– Tak, herszcie?

– Jak tylko uda mi się odczytać ślady jakie po sobie pozostawili ci przekłęci złodzieje i uda mi się ustalić z której strony przylecieli, udasz się ich tropem. Są obciążeni skrzynią, więc nie mogli osiągnąć zbyt dużego tempa. Znajdziesz ich, a następnie wrócisz do nas i powiesz gdzie mamy szukać. Dorwiemy bydłaków – mruknął ponuro Kunan.

Jakby dla zaprzeczenia jego słów, burza ponownie zaatakowała, błyskawicznie pokrywając wszystko śniegiem i tworząc zaporę nie do pokonania z porywistego wichru. Tym samym osłoniła ucieczkę gryfów.

Przez grzmoty piorunów i upiorny huk wiatru przebił się kolejny, pełen wściekłości ryk.